ROK X. WARSZAWA, 31 LIPCA 1921 R. ZESZYT XIV.

PLACÓWKA

KULTURY I SZTUKI

Towarzystwo Słowiańskie.

Kiedy w ostatnim numerze „Placówki“ podniosłem sprawę stworzenia „Towarzystwa Słowiańskiego“ jako ogniska polskiej pracy nad zbliżeniem się kulturalnem z zagranicą słowiańską, nie spodziewałem się, że rzecz stanie się tak prędko aktualna. Tymczasem sternicy polityki polskiej pokierowali nawą interesów politycznych w ten sposób, że stało się wprost naglącem poczynić wszelkie starania, ażeby dążenia do współpracy z państwami słowiańskiemi nie znalazły ogółu narodu nie przygotowanym. A raczej, ażeby z braku przekonania szerokich warstw ludności o konieczności kulturalnej, łączności międzysłowiańskiej, dobre intencje polityków nie ugrzęzły na mieliźnie obojętności, bierności i może nawet niechęci ogółu, zanadto długo demoralizowanego hasłami nieufności, walki i nienawiści. Jest więc rzeczą konieczną zabrać się do pracy bezwłocznie i z wytężeniem całej energji.

Nie trzeba się wprawdzie łudzić, że lody, które działaniem dawnych nieporozumień nagromadziły się pomiędzy nami, a resztą Słowiańszczyzny, i które rozbieżność, choćby chwilowa i pozorna, interesów w okresie wyzwolenia tylko musiała pomnożyć, stopnieć mogą za pierwszym podmuchem wiosennego wiatru odnawiających się sympatyj. Zadużo jest jeszcze nieuregułowanych i nawet nie omówionych spraw, ażeby móc widzieć, że nowy kurs polityczny, zaawizowany tak sympatycznie przez obecnego sternika zagranicznej polityki polskiej, natrafić musi jeszcze na nie jedną przeszkodę. Więcej jest narazie jeszcze w tem wszystkiem nadziei i dobrych chęci, niż rzeczywistości, zadużo „polityki“. Ale tem

nie powinniśmy się zrażać. A gdyby nawet polityka, orjentująca się dziś słusznie i zbawczo w kierunku porozumienia się Polski z zagranicą słowiańską, zmieniła jutro lub pojutrze pod wpływem jakichś nieznanych dziś „interesów państwowych“ kierunek i zeszła na inny tor—łączność Polski ze słowiańszczyzną na tle współpracy kulturalnej nie może na przyszłość już zostać czczym frazesem lub nie realnem marzeniem kilku literatów, dziennikarzy, artystów oraz innych quantitées négligeables in politicis. A ta właśnie praca, systematyczna, celowa i skuteczna, oraz wykonywana zupełnie niezależnie od chwilowych koncepcyj politycznych u nas lub za granicą, powinna znaleźć oparcie wewnętrzne i dyrektywę w „Towarzystwie Słowiańskiem“. Ono bowiem, jako instytucja ogólno polska, rozgałęziona po całym kraju, dla wszystkich dostępna oraz dążąca do celów swoich wszystkiemi drogami, powinno stać się istotnym wykładnikiem odrodzonej i na nowych, współczesnych podstawach formowanej idei wspólności słowiańskiej.

„Towarzystwo Słowiańskie“ nie jest właściwie w Polsce nowością. Na kilka lat przed wojną światową istniało w Krakowie stowarzyszenie mające za cel propagować znajomość rzeczy słowiańskich w Polsce b. zaboru austrjackiego. Stowarzyszenie owo — również pod nazwą „Towarzystwa Słowiańskiego“, w którem działały jednostki tak wybitnego znaczenia w zakresie znajomości słowiańszczyzny jak Roman Żawiliński, Feliks Konieczny, ś. p. Edmund Kołodziejczyk, prof. Karbowiak i inni, pracowało jednak w ramach z natury rzeczy dosyć ograniczonych, i z wybuchem wojny działanie jego stało się znikomem i bez znaczenia. Dopiero w ostatnich miesiącach przed przewrotem politycznym 1918 roku poczyniono starania (—R. Żawiliński, T. Żuk-Skarszewski, Włodzimierz Tetmajer, M. Szukiewicz, Dr. Łobaczewski, A. B. Dostal i inni—) o wskrzeszenie tej działalności i postawienie jej na nogach, szerszych oraz bardziej odpowiednich podstawach. Praca rozwijała się szybko i obiecywała cenne wyniki na przyszłość, tembardziej, gdy odzyskana niepodległość Polski otworzyła szerokie widnokręgi dla wszelkiej pracy kulturalnej na tle wzajemności słowiańskiej. Niestety, wypadki potoczyły się w kierunku nieprzewidzianym, i fatalna awantura cieszyńska położyła kres pracy i zamiarom krakowskiego Towarzystwa



Rodacy. Michał Kamieński.

Jeden egz. w posiadaniu Naczelnika Państwa w Belwederze, drugi — gen. Dowbor-Muśnickiego, trzeci przeznaczony do Muzeum Wojsk. Wszystkie trzy egz. dar wojskowych b. I Korpusu Polskiego.

Słowiańskiego. Kraków bliski rubieżom Rzeczypospolitej, rozgorączkowany i zanadto opanowany tyranją politycznego frazesu, nie był miejscem, gdzieby w tak krytycznym okresie czasu było możliwem pracować, żeby tak powiedzieć — „sub specie aeternitatis“. Z innego wyższego punktu widzenia i z widokami na metę dalszą, niż przedstawiały ją chwilowe czesko-polskie „kłótnie o miedze“, nie było wówczas możliwem ująć sprawy tak doniosłej wagi, jak kulturalna wspólność Polski ze Słowiańszczyzną. Niestety, wynikiem tego było wogóle dobrowolne zamknięcie granic dla eksportu i importu wszelkich przejawów kulturalnego życia słowiańskiego w Polsce i poza Polską—stan niezdrowy i przedewszystkiem przez nas samych dziś przykro odczuwany...

A jednak przeminęło. Na podwórku naszej polityki wionęło świeżem powietrzem — a kultura polska powinna prędko z tego wyciągnąć korzyści. Należy nie zwlekać, nie oglądać się w tą lub ową stronę, nie czekać i nie namyślać się, kto pierwszy powinien zacząć — ale rzeczywiście zaczynać, brać się do roboty.

„Towarzystwo Słowiańskie“ w Polsce ma w chwili obecnej wielkie i przepiękne zadanie. Otworzyć powinno okna na południe, na wschód i na zachód, ażeby móc przypatrzeć się zbliska i krytycznie fermentowaniu nowego kulturalnego życia poszczególnych ludów słowiańskich. Teraz bowiem jest chwila, gdy należy ocalić i przyswoić kulturze własnego narodu nowe wartości przejawiające się w Słowiańszczyźnie, oraz zdobycze własnej kultury polskiej dać poznać narodom bratnim. W ten tylko sposób zdołamy wybudować wspólnie z niemi pyszny gmach nowej — słowiańskiej — przyszłości Europy. Przez współpracę kulturalną tylko możemy dojść do poznania się, do sprawiedliwego oceniania się nawzajem, i przez nie do rzeczywistego i trwałego zbliżenia się i ewentualnych sojuszów.

Praca kulturalna może i powinna tu „wyrównywać ścieżki“, stać się Janem Chrzcicielem przyszłej pożądanej wpólności politycznej narodów słowiańskich. A „Towarzystwo Słowiańskie“ w Polsce powinno być tej pracy ogniskiem, zbiornikiem energji, pomostem kapitańskim, z którego kulturalne działanie na tle wzajemności słowiańskiej, winno być kierowane. Z niego winna idea łączności ze słowiańszczyzną promienio-

wać na wszystkie strony jasnem, ciepłem, ożywczem światłem słonecznej pogody. Co w Krakowie ongiś, wyrosłe jeszcze na tle stosunków przedwojennych, wskutek pożałowania godnego zbiegu wypadków politycznych zostało zniweczone, to Warszawa winna dziś wskrzesić, na nowych podstawach odbudować, przepoić szczerością i energją, i stworzyć w Polsce zgodnie z jej dziejowem zadaniem ośrodek nowego działania i nowych kulturalnych zdobyczy.

Posłannictwo „Towarzystwa Słowiańskiego" w Polsce jest zanadto poważne i jego wartość tak oczywista, że nietrzeba o konieczności jego stworzenia dopiero przekonywać. Chodzi tylko o to, na jakich podstawach, w jakiej formie i z jakim zakresie działania należałoby nową tę instytucję zorganizować, ażeby odpowiadała wymaganiom i zadaniu.

Niemam oczywiście zamiaru szczegółowo omawiać dziś organizacji wewnętrznej „Towarzystwa Słowiańskiego". To będzie już rzeczą tych, którzy podejmą się pracy wprowadzenia instytucji tej w życie. Pragnę tylko na podstawie dawniejszych doświadczeń z pracy społecznej poza granicami Polski oraz z punktu widzenia obecnego ustosunkowania społeczeństwa polskiego podać kilka wskazówek, jak należałoby moim zdaniem postępować, ażeby nie budować na piasku.

Jako rzecz niezmiernej wagi, taka „conditio sine qua non", powinna być przy konstytuowaniu się „Towarzystwa Słowiańskiego" przestrzegana zasada, że instytucja jest ściśle apolityczna z punktu widzenia przynależności partyjnej ludzi działających pod jej sztandarem. „W Towarzystwie Słowiańskim" do pracy brać się powinni tylko ludzi szczerze i głęboko przejęci ideą sławiańskiej wzajemności kulturalnej, tacy, którzy przystępują do dzieła z wiarą w jego skuteczność, bez postronnych ambicyj osobistych, bez pretensyj partyjnych. Pod dachem „Towarzystwa Słowiańskiego" znaleźć się powinni wszyscy ludzie dobrej woli, którzy niezależnie od programów politycznych swoich klubów wierzą, że chwila dzisiejsza, to brzask nowej epoki, tej, która należyć będzie do nas Słowian. Zadużo jest w duszach polskich kultury, ażebyśmy będąc razem umieli wspólnie pracować. Jednego tylko rodzaju ludzi należałoby się wystrzegać: histeryków, którzy byle drobiazgiem zrażają się, których dzisiejsza egzaltowana miłość i chęć do pracy w razie najmniejszej przykrości lub nieporo-

zumienia zamienia się również w egzaltowaną gorycz, przygnębienie, nawet nienawiść. Tacy bowiem ludzie niepoczytalni wnoszą truciznę do najzdrowszego ogranizmu, destrukcję do stosunków najbardziej ułożonych. Podkopują wiarę i ufność w powodzenie. Dla pracy „Towarzystwa Słowiańskiego“ potrzebną będzie siła woli, szeroki pogląd hart ducha, oraz — powtarzam — wytrwałe, głębokie przekonanie o słuszności sprawy i o skuteczności usiłowań. To stworzyć może nawet z ludzi wrogich sobie obozów miłe i pożyteczne towarzystwo, które chociaż na tem jednem polu działania potrafiłoby znaleźć się na wspólnej płaszczyźnie przy twórczej i błogosławionej w swoich wynikach pracy.

Działania „Towarzystwa Słowiańskiego“ nie należy centralizować. W Warszawie powinna być siedziba „Towarzystwa“ oraz centralny zarząd z głównym sekretarjatem. Praca zaś cała — oprócz działań o znaczeniu ogólnem, zasadniczem oraz oprócz przedsiębiorstw zamierzonych na większą skalę — powinna ześrodkować się w poszczególnych sekcjach miejscowych, działających stosownie do swoich możliwości materjalnych lub lokalnego znaczenia. Prace każdej sekcji jako też działania głównego zarządu podzielone powinny być na komisje, podług tego, jak wymagałby rozwój działania oraz jak którą sekcję na co stać będzie. Sekcja każda rządzić się winna autonomicznie, będąc jednak odpowiedzialną za swą pracę przed zarządem centralnym, do którego deleguje swego przedstawiciela. Sprawozdawcze zgromadzenie doroczne, zwoływane raz na rok do siedziby jednej z Sekcji, jest organem kontrolnym i ustawodawczym, oraz wybiera zarząd centralny. Zresztą to są już detale, które „Towarzystwo Słowiańskie“ ureguluje sobie podług swoich potrzeb i zapatrywań. Jednak moim zdaniem zdecentralizowanie i możliwie najszersze rozgałęzienie pracy instytucji posiadającej tej miary znaczenie, jakie osiągnąć powinno przyszłe „Towarzystwo Słowiańskie“, mogłoby być tylko korzystne.

Ale niech już wewnętrzna organizacja „Towarzystwa“ będzie taka lub owaka, aby tylko już rzeczywiście była, bo „Towarzystwo Słowiańskie“ w Polsce czekają pilne i najrozmaitsze zadania. Pozrywane nici łączności Polski ze Słowiańszczyzną należy nawiązywać jak najprędzej i trwale. Tem bardziej, że przyszła praca „Towarzystwa Słowiań-

skiego" ma właściwie jeszcze jedno chwalebne zadanie by przez rozszerzenie znajomości kultury ludów słowiańskich, przez zaznajomienie ich z kulturą polską, oraz przez zgłębiebienie i rozpowszechnienie sprawiedliwej i na znajomości rzeczy opartej oceny kulturalnych wartości poszczególnych gałęzi mocno rozrośniętego szczepu słowiańskiego przygotowywać utworzenie „Instytutu Słowiańskiego" w Warszawie. Warszawa punktem środkowym kulturalnego życia słowiańszczyzny — do tego celu winniśmy dążyć wszystkiemi siłami. To naszem przeznaczeniem dziejowem, to zadaniem naszej przyszłości, które chwila obecna głośno nam przypomina. A do tego należy się przygotować. Narazie zaczynać trzeba od abecadła.

AD. B. DOSTAL.

Filozof i Mechanik.

Filozof. Powiedz mi, Ikarze, ty który w jednym dniu przelatujesz na swoim aeroplanie z Paryża do Konstantynopola, a w dwa — z Londynu do Ameryki, czy czujesz się nadczłowiekiem? Czy masz w sobie wrażenie wszechpotęgi, panującej nad światem?

Mechanik. Z początku, gdy uczyłem się latać, bawiłem się taką myślą i miałem uczucie podobne do tego, o jakiem mówisz. Teraz myślę o tym, aby narzędzie ulepszać, bym miał najmniejsze widoki spadnięcia i zabicia się, nietylko ja, ale i moi koledzy.

Filozof. Doskonale, jesteś dzielny człowiek. Ale zaczynaj od początku i opowiedz mi pierwsze swe loty, gdy, jak sam mówisz, bawiłeś się.

Mechanik. Wzleciałem... Był to dzień jasny, piękny, radosny, przy ziemi cisza. Maszyna była mi lekka i posłuszna, więc wkrótce zapomniałem że jest. Ludzi widziałem jak mrówki, wyżej jak punkciki, wyżej i chyżej byłem już tylko z ptakami. Zdziwione i przerażone uciekały. Wkrótce sam... z obłokami, które przerzynał mój samolot. Głupio i dziwno. Krótka była przejażdżka. Powróciłem na ziemię i pierwszego człowieka na lądzie spotkałem z dumą. Gdybyś ty był

nim, Pytagorasie, uważałbym ciebie za coś nieskończenie małego, niegodnego mej rozmowy.

Filozof. Tak to dotknięcie kurzu ziemi pleni robactwo.

Mechanik. Im bardziej wzrastała chyżość mojej maszyny, im godniejsze podziwu wykonywałem na niej koziołki, tym szerzej zagarniała przestrzeń moja duma. Aż razu porwał mnie wicher, zakręciła burza w obłokach. Spadałem. Widzisz mnie żywego cudem: oto znalazłem się na stogu siana.

Filozof. Widocznie przeznaczony jesteś do udoskonaleń. Idziesz do góry, spadając na dół.

Mechanik. Stóg był pod zapadniętą w głuszy mieściną, gdzie po raz pierwszy widziano samolot. Zbiegli się do mnie ludzie, zanieśli uroczyście do miasta i wyprawili na cześć moją ucztę. Trąby grały, a poeta miejscowy wystąpił do mnie z wierszem, to jest do mnie i do mojej maszyny. Pamiętam z jego ody:

Ty, któryś dotarł niebieskiego proga,
Czyliś jest Bogiem, czyś wyższy od Boga?

Filozof. Hm! patrzaj, natrafiłeś na lepszego pilota, niż ty sam.

Mechanik. Przez grzeczność nie powiedziałem mu „łżesz“. Ale od tej chwili, gdy zobaczę lub usłyszę wiersz, mam ochotę zawyć po psiemu.

Filozof. Cóż dalej?

Mechanik. Dalej... zmieniłem zupełnie kierunek oczu. Przedtem patrzyłem w dół, na ziemię, aby się jej podobać. Teraz, latając, patrzę w górę, w to, co nademną. Dawniej myśl moja miała pod sobą no... dziesięć kilometrów, teraz mam nad sobą ich miljony, nieskończoność... Skutek jest taki, że myślą rozmawiając z nieskończonością, a zapomniawszy o ziemi, zrobiłem kilka wynalazków i ulepszeń, z których inni są daleko zadowoleńsi, niż ja sam. Dla nich są one ogromne, dla mnie małe. Bo przedemną jeszcze miljony kilometrów tam, do góry... Kiedy ja to zrobię?

Filozof. Czy nie przeraża ciebie to „nigdy“, które masz na ustach, a lękasz się wymówić?

Mechanik. Przyznam się, że nie miałem czasu myśleć o „nigdy“. Byłem „zawsze“ w ciągłości działania. Mój czas składał się z dwóch części: pracowałem nad ulepszeniem swojej maszyny i spałem to jest wypoczywałem.

Filozof. Czy nie pomyślałeś, kto będzie korzystał z twoich wynalazków?

Mechanik. Jakto kto?

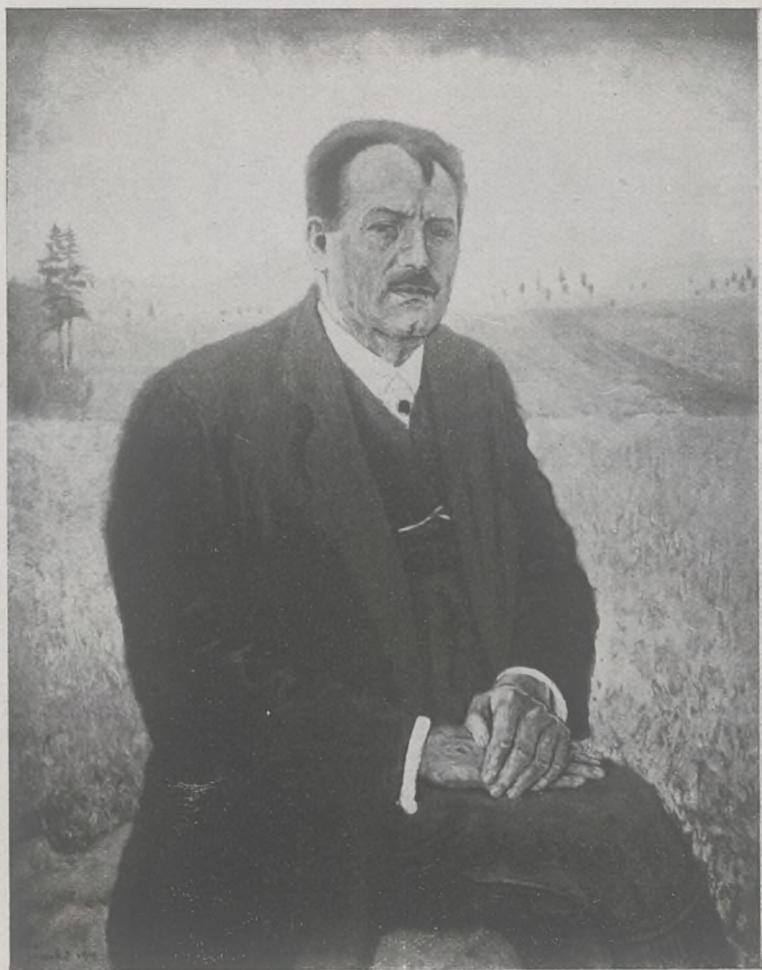
Filozof. Jacy ludzie, z jakimi zamiarami? Bo przecież, czy możesz zaręczyć, że z twojej pracy nie skorzysta naprzykład banda złoczyńców. Dzięki twojej wybornej maszynie mogą gwałtem zapanować nad ziemią i założyć Królestwo Zniszczenia. Maszyna jest niema i nie pyta, jaka ręka ją prowadzi. Patrz, co się na oczach naszych stało. Wszystkie wysiłki najbystrzejszych uczonych i wynalazców obróciły się na dobro pewnych szajek złodziejskich i to nietylko na Wschodzie, w Rosji, ale i na Zachodzie, chlubiącym się cywilizacją.

Mechanik. Czy chciałbyś przez to powiedzieć, że praca moja jest daremna i że lepiej bym robił, gdybym żył w stanie buddyjskiej nirwany, albo bezmyślnie używał życia, jak to czynią miljony pospolitaków?

Filozof. Wcale nie to. W tej chwili dopuściłeś się sofizmatu. Rozszerzyłeś temat rozmowy i wyciągnąłeś wniosek nieprawowity. Nie twierdziłem i nie twierdzę, że twoja robota jest szkodliwa, ale, że jest niepełna.

Mechanik. Cóż mogłem więcej robić ponad rzetelne badanie przedmiotu, po nad uczciwą specjalizację? Musimy rozdzielić zajęcia: ty zajmujesz się filozofją, ja mechaniką.

Filozof. Właśnie błąd. Filozofja nie jest zajęciem, jest koniecznem uzupełnieniem człowieczeństwa. Kto jak kto, ale człowiek wyższy, dający masom sposób ułatwienia życia fizycznego, słowem rozbudzający instynkty, musi występować jako istota doskonalsza, że tak się wyrażę, w pełnym rynsztunku myśli. Pomyśl. Gdybyś wynajdywał tylko dla siebie, a ze śmiercią twoją ziemską ginął i twój wynalazek, nie byłoby kwestji. Ale ponieważ twój wynalazek musi iść ku pożytkowi lub szkodzie miljonów i miljonów, rola twoja jest socjologiczna i musisz występować jak filozof. Z wynalazku twojego płynie filozofja i stajesz się odpowiedzialny za to zrozumienie, z jakim przyjmą twoją pracę masy ludzkie. Dla tego twierdzę, że taki człowiek, jak ty, musi być istotą pełną. Dajesz swoją maszynę, daj zarazem i swoją religję. Oczywiście nie abyś zakładał swoje kościoły lub pagody z symbolicznymi i dogmatycznymi obrzędami, ale chodzi o związanie maszyny...



Portret Jana Kasprowicza. Wł. Jarocki.

Tow. Zach. Szt. Pięk.

z nieskończonością, której poczucie masz, bo mi to wyraźnie powiedziałeś, tylko nie wyciągnąłeś z tego faktu wniosków.

Mechanik. Czuję, że masz jakąś słuszność, nie dostrzegłem jej, nie pomyślałem. Jednakże widzę ją jeszcze we mgle. Nie mogę jej dojrzeć dość jasno, przywykłem do przedmiotów bezpośrednio zmysłowych.

Filozof. Wychowano twój umysł w nienawiści do abstrakcji. Znana rzecz... choroba wieku, występek przeciwko rozwojowi. Człowiek jest to stworzenie metafizyczne i tylko dzięki abstrakcji jego egoizm i jego egotyzm są tak triumfujące w stosunku do zwierząt. Abstrakcja jest dopełnieniem pracy zmysłowej. Czy możesz wyobrazić sobie kościół gotycki bez wieży, Panteon rzymski bez kopuły, świątynię helleńską bez kolumn i posągów? Szkaradzieństwo, przybytek małp. Najsilniejszą abstrakcją jest poczucie religijne, strumień nieskończoności wiążący człowieka ze światem tajemnic, będącym i w nim i po za nim. Wychowano ciebie w atmosferze bez tlenu, tak! Twój umysł od natury wspaniały i płodny nie rozwinął się wszechstronnie. Jest jak twarz bez rumieńca, świadczącego o bogactwie krwi. Zamknięto cię w lochu: „materjalistycznego pojmowania dziejów". Szympans, orangutang latający na maszynie!... Cóżeś ty myślał o swoim stosunku do świata ludzkiego, boć prawdopodobnie nie obeszło się bez tego, że myślałeś?

Mechanik. Pieściła mnie myśl i zadowolenie, że mój wynalazek przyczyni się do zaprowadzenia raju na ziemi.

Filozof. Doprawdy, czy taka była główna sprężyna twojej gorliwej i wytrwałej pracy, mozołu badania, męki twórczej? Czy nie pchał ciebie raczej egotyzm instynktu twórczego, ta abstrakcja nieskończoności, którą jednakże ty pomimo ogólnej kastracji ducha (szczęście, że nie może ona być nigdy stanowcza, jak np. kastracja ciała), latając na maszynie, po nad obłokami dojrzałeś? A chyba nie urazisz się, jeżeli ci otwarcie powiem, że trwałą sprężyną działań człowieka wyższego nigdy nie jest tak zwana filantropja, jałmużnictwo, zajęcie ludzi próżnych. Powtarzam, jeżeli oddajesz swoją maszynę ludziom, musisz wiedzieć, komu ją oddajesz. Bo może latać na niej, po tobie, jakiś tęgi rabuś z ideologją np. socjalistyczno-komunistyczną i tworzyć sobie raj na ziemi, albo rozmiękczony burżuj do Monte-Carlo, albo miljarder-żyd do swych

faktoryj niewolniczych, albo chory na spleen Anglik do nieznanych krajów. Maż twoja praca, objaw ducha, służyć wyolbrzymieniu zwierzęcych egoizmów. Mądraż? Tresowanie lisów do łapania kur? Chyba nie możesz utrzymać się na takim punkcie.

Mechanik. Więc w jakiej formie, według ciebie, miałbym dopełnić siebie? Już mnie niemal obciążasz winą, że pracowałem i pracuję szkodliwie, że pracowity głupiec bodaj niebezpieczniejszy od próżniaczego eksploatatora... Pozwolisz, że i nadal pozostanę pragmatykiem i zapytam ciebie, co mam wobec ludzi zrobić?

Filozof. Myślę, że sam dojdziesz do tego bez mojej pomocy. Byłoby niedorzecznością, gdybym taką inteligencję, jak twoja (dałeś tego dowody), miał uwalniać od ostatecznego wniosku, który sam wyprowadzić możesz, a z niego natychmiast swoją własną decyzję, jako pragmatyk. Rzeczą moją jest przedstawić ci obce tobie przesłanki, obce, gdyż dotąd prawdopodobnie nie miałeś czasu myśleć o nich. Otóż pytanie stawiam: czy cywilizacja nasza nie zginie nigdy, dla tego że posiadamy druk, parę, proch i armaty i samoloty? Fakt wojującego obecnie bolszewizmu (po całym świecie cywilizacji europejskiej) zmusza koniecznie do rewizji pojęć panujących. Czy chcesz mnie wysłuchać?

Mechanik. Nic nie może być bardziej zajmującego.

Filozof. Otóż jest to odruch przeciwko „rajowi na ziemi“, przeciwko „materjalistycznemu pojmowaniu życia“, przeciwko absurdowi popełnionemu na umyśle ludzkim. Przytoczę ci wykład bardzo wielkiego myśliciela (A. Gobineau), który pisał przed laty siedemdziesięciu i nie miał żadnej pretensji do uchodzenia za proroka. Był to Aryjczyk doskonały, nie mający nic wspólnego z mongolizmem Tołstoja.

„Czy druk, znany nie mniej w Tonkinie, w Annamie, w Sjamie niż we współczesnej Europie, dał ludom tych krajów cywilizację chociażby znośną. Księgarstwo indyjskie (Mohl, Societé asiatique) jest niezmiernie czynne i jego książki są nieznane w księgarniach europejskich, nawet w Indjach. W samem mieście Luknow jest 13 litografij specjalnie zajętych drukowaniem książek szkolnych, z których prawdopodobnie żadna nie doszła do Europy. To samo w Dehli, w Agne, w Cawnpour, w Allahabad i t. d.

Skąd pochodzi, że te narody są tak obniżone, tak słabe, tak zbliżone do poziomu, na jakim człowiek cywilizowany lecz zepsuty, słaby i nikczemny nie wart pod względem siły intelektualnej jakiegoś barbarzyńcy, który przy lada sposobności podbija go i uciska? Sjamczycy — to lud najbezwstydniejszy na świecie, na najniższym poziomie cywilizacji indochińskiej, jednakże wszyscy umieją czytać i pisać. (Ritter, Erdkunde.) Jak to się dzieje?

Jedynie dla tego, że druk jest to środek, nie zasada. Jeżeli rozpowszechnia idee zdrowe, silne, pożyteczne, działa nadzwyczaj owocnie i cywilizację podtrzymywać będzie. Przeciwnie, jeżeli umysły są już tak otępione, że nikt już nie dostarcza do prasy dzieł filozoficznych, historycznych, literackich, zdolnych silnie żywić genjusz narodu, jeżeli skarlała prasa służy jedynie do rozmnażania niezdrowych i zatruwających kompozycyj mózgów zdenerwowanych, jadowitych produktów teologji sekciarskiej, polityki pamfletycznej, poezji rozpustników, to w jaki sposób i dla czego druk miałby ocalać cywilizację?

Przypuszcza się, że z powodu łatwości, z jaką druk rozpowszechnia wielką ilość arcydzieł ducha, przyczynia się on do ich zachowania — i w czasie, gdy jałowość umysłowa nie dostarcza rywalów, poddaje je rozmysłowi ludzi rzetelnych. Tak jest rzeczywiście. Jednakże, aby poszukać książki dawnej i skorzystać z niej ku własnemu udoskonaleniu, trzeba już, bez tej książki, posiadać największe z dóbr to jest siłę duszy oświeconej. W czasach złych, świadkach odpływu cnót publicznych, nie wiele się robi z dawnych dzieł i nikt nie zakłóca milczenia bibljotek. To już wielka wartość myśleć o odwiedzaniu miejsc dostojnych, a w takich epokach jest się mało wartym.

Zresztą przesadzają bardzo długowieczność, zapewnioną dziełom ducha przez odkrycie Gutenberga. Z wyjątkiem kilku dzieł, reprodukowanych przez pewien czas, wszystkie książki umierają dziś, jak niegdyś umierały rękopisy. Zwłaszcza dzieła naukowe, drukowane w niewielkiej ilości egzemplarzów, znikają z gminną szybkością. Można je jeszcze znaleźć, acz z trudem, w zbiorach prywatnych. Działo się najzupełniej tak samo i z bogactwami umysłowymi starożytności. I jeszcze raz powiem: nie erudycja ocala naród, doszły do martwoty.

Zobaczmy co się stało z myrjadami dzieł doskonałych ogłoszonych od pierwszego dnia działania prasy drukarskiej. Większość — zapomniana, a te, o których się jeszcze mówi, nie mają już czytelników. Autor przed laty pięćdziesięciu poszukiwany, widzi jak znika jego książka.

Aby podnieść zasługę druku, zbyt zapomniano o obfitości rękopisów. Była ona większa niżeli się przypuszcza. W czasach rzymskiego cesarstwa środki wyszkolenia były bardzo rozpowszechnione, nawet książki były powszechne, czego dowodzi niezwykła ilość tak zwanych gramatyków, od których roiły się nawet miasteczka; były to osoby w swym rodzaju podobne do współczesnych adwokatów, romansopisarzów, dziennikarzów. Petronjusz w Satyrikonie opisuje ich obyczaj wyuzdany, ich nędzę i namiętny pęd do użycia. W chwili upadku ostatecznego jeszcze książki były w obfitości: Wirgiljusza czytano powszechnie, a wieśniacy brali go za niebezpiecznego czarownika. Kopjowali go mnisi; kopjowali również Plinjusza, Dioskorida, Platona i Arystotelesa, kopjowali nawet Katulla i Martiala. W średniowieczu z wielkiej ilości rękopisów, ocalałych po tylu wojnach, spustoszeniach i pożarach klasztorów i zamków, możemy odgadnąć, ile napisano współcześnie dzieł literackich, naukowych i filozoficznych. Więc przesadzamy rzeczywiste zasługi druku dla nauki, dla poezji, dla moralności i dla prawdziwej cywilizacji; bylibyśmy ściślejsi nienaciskając zbyt na tę tezę, lecz mówiąc przedewszystkiem o przysługach dziennikarskich, wyświadczonych przez ten wynalazek interesom religijnym i politycznym pierwszego lepszego. Druk jest to cudowny instrument, powtarzam, ale, jeżeli brak ręki i głowy, narzędzie nie będzie działało samo przez się.

Nie potrzeba długich dowodzeń, aby stwierdzić, że proch i t. d. tymbardziej nie może ocalić społeczeństwa, znajdującego się w niebezpieczeństwie śmierci. Ten wynalazek prawdopodobnie nie będzie zapomniany. Zresztą pytanie, czy narody dzikie, przyswoiwszy go, użyją go kiedykolwiek w innym celu, jak zniszczenie (bolszewizm!).

O parze i o wszystkich wynalazkach przemysłowych powiem to samo, co o druku, że są to środki wielkie. Dodam, że nieraz widziano, że sposoby z odkryć naukowych zrodzone, żyły i ciągnęły się w stanie rutyny, gdy zamarł już ruch

intelektualny, ich ojciec, a wkońcu i zgubiły zasadę teoretyczną, z jakiej powstały. Wreszcie przypomnę, że błogostan materjalny nigdy nie był czemś innem, jak zewnętrznym dodatkiem cywilizacji i że nigdy nie słyszano o społeczeństwie żyjącem jedynie przez to, że znało sposoby prędkiego chodzenia i dobrego ubierania się.

Wszystkie poprzedzające nas cywilizacje myślały, jak my, że dzięki swoim niezapomnialnym wynalazkom wdrapały się na skałę czasu. Wszystkie wierzyły w swoją nieśmiertelność. Inkasi, których palankiny szybko przebiegały godne podziwu szosy, łączące Cuzco z Quito, byli przekonani o wieczności swoich zdobyczy. Stulecia, jednym uderzeniem skrzydeł, strąciły ich państwo tak jak i wiele innych w głębię nicości. Ci Peruwianie mieli swoje nauki, mechanikę, maszyny potężne, których roboty podziwiamy z osłupieniem, nie znając ich sekretu. Umieli przenosić masy olbrzymie. Budowali mury, wciągając jeden na drugi bloki kamienne mierzące 38 stóp długości na 18 szerokości. Ruiny Tihuanaco dają nam takie widowisko, a te potworne materjały sprowadzano na wielomilową odległość. A mury cyklopiczne w tylu punktach Europy południowej?

Nie bierzmy rezultatów cywilizacji za jej przyczyny. Przyczyny giną, o rezultatach zapomina się, gdy znika duch, który je wyłonił. A jeżeli te rezultaty trwają, dzieje się to dzięki nowemu duchowi, który nimi zawładnie, nadając im często doniosłość inną, niżeli pierwotna. Inteligencja ludzka, wiecznie chwiejna, biegnie od jednego punktu do drugiego, przecenia wartość posiadaną, zapomina o wartości opuszczonej. Zamknięta w kole, którego przekroczyć nie zdolna, może zapłodnić jedną część swoich dzierżaw, pozostawiając drugą w stanie ugoru, zawsze jednocześnie i wyższa i niższa od swoich przodków“.

Oto co miałem ci do powiedzenia, przyjacielu.

Mechanik. Zrozumiałem z tego, że nikogo nie obchodzi wysiłek mojej pracy ani jej pobudki, lecz wszyscy przywłaszczają sobie jej zastosowanie według swej wartości duchowej. Jednakowo służę głupiemu i mądremu, człowiekowi wyższemu i pospolitemu zbrodniarzowi, instynktom dobrym i instynktom złym. Historja może mi postawić pomnik i może mnie przeklinać. Dwuznaczne położenie.

Filozof. Powiedziałeś...

Mechanik. Zatem obowiązek mój jest dopełnić się, jak mówisz, i przy każdej sposobności ogłaszać publicznie moje credo: „Duch mój pracował pod tchnieniem Tajemnicy Wiekuistej, Najwyższej Nieskończoności, nie po to, aby tuczyć wasze cielska i namiętności, abyście wkrótce gnili z chorób. Wynalazki moje są dla waszych duchów i tylko dla nich, aby ułatwić im rządy nad naturą. Nie jestem ani sługą ani niewolnikiem waszym, abym stwarzał komuś raj na ziemi bez jego udziału. Jeżeli nie macie ducha, któryby moje dary zrozumiał, zbombarduję was, gałgany.

Filozof. Słusznie, pozostaje im droga metampsychozy.

IGNACY OKSZA GRABOWSKI.

5)

Pokrakowska pomsta.

(Dalszy ciąg).

Opowiadają sobie po Warszawie następującą „płotkę", którą jako nałogowy zbieracz wszystkiego co Galileą trąci zarejestrowałem z satysfakcją.

Kiedy w pierwszych dniach Lipca premjer Witos naznaczył na pewien dzień nadzwyczajną sesję Rady Ministrów, znaleźli sję w pięknej sali z napisem reklamiarskim: „Legionum virtuti, N. K. N constantia" przy zielonym stole następujący ministrowie: Witos, Grzędzielski, Stesłowicz, Rataj, Jasieński, Steczkowski, Raczyński, Weinfeld, Dębski... Kiedy premjer Witos chrząknąwszy chce zagaić sesję, zebrani rozglądnęli się po sobie i dziwny uśmiech pojawił się na twarzach. Nagle jeden z ministrów zwraca się do premjera z apostrofą: Słuchajcie Wincenty. Możeby tak jeszcze zatelefonować do jakiego kolegi, bo tak nie wypada.

— Co wam znowu Macieju nie wypada? Wedle czego niby?

— Ano niby wedle tego, że Rada Ministrów w komplecie, a tu bracie same Galicjany...

Rozglądnęli się dokoła stołu i istotnie. Rada ministrów była omal w komplecie; w momencie historycznym, w którym tracilişmy na wieki Górny Śląsk i Wilno, kiedy marka stała



Powrót z Golgoty. Wł. Jarocki.

Tow, Zach. Szt, Pięk.

poniżej drachmy greckiej i była 17-tą częścią lei rumuńskiego Rada Ministrów składała się omal z samych Małopolaków krakauerskiego pomazania...

Nie wypada, ale tak wypadło. Zatelefonowano więc do ministerjum zdrowia, szczęścia i pomyślności; poczem w moment stawił się zadowolony, uszczęśliwiony dr. Chodźko, minister który dzięki higjenicznemu życiu przetrwał wszystkie gabinety i wszystkie okupacje i ma nadzieję dzierżyć swoją tekę aż do grobowej deski. Po przyjściu zziajanego ale rozpromienionego p. Chodźki debaty potoczyły się normalnie...

Si non e vero e ben blagiato...

Już ostatnie przesilenie udowodniło całej Polsce, że jesteśmy dziś niczem więcej tylko rozdętą wielką dawną Galicją. Na ministra spraw zagranicznych zgłaszano kolejno kilkanaście kandydatur i już zgoła bezceremonialnie samych gente Galicjanów natione Polonów. Okazało się, że kooperatywa sejmowa K. P. K. posiada olbrzymią hurtownię gotowych mężów stanu, których może dostawiać na każdy telegraficzny obstalunek, gratis i franco z odstawą do apartamentów na Miodowej. Reszta Polski dziwnym trafem jest wyjałowiona, jest ugorem niepłodnym, na którym nie zakwitnie już nieodwołalnie nigdy żaden talent polityczny ni dyplomatyczny; tylko ci co przeszli konwikt krakowski i mają na plecach plombę krakauerską mogą mieć pewne szanse. P. Kucharzewski jest giętki, układny, płytki, zgrabny, podlegał grzecznie suflerce z „Czasu" ergo jest psychicznym krakauerem i może kandydować, p. Szebeko jest nie „nasz człowiek", nie jeździł do Mekki podwawelskiej; wtedy naciska się guzik pepeeski i „niepodległościowcy" zaczynają nań nagankę jako na „carskiego służalca". Do służby dyplomatycznej kwalifikuje się każdy zbiedniały Szembek i każdy wstydzący się pracować Skrzyński i każdy z małopolskich Tarnowskich ale Koziełł-Poklewski jest „Moskal" a np. Franc Morawski jako Wielkopolanin skompromitował się przyjaźnią z Erzbergerem nieuleczalnie. Polacy bowiem, jeżeli się kompromitują to dożywotnio, Krakauery tylko „czasowo" i tymczasowo.

Skompromitowani więc są nasi aktywiści-ekstremiści ale nie skompromitowani krakauerscy aktywiści umiarkowani i dystyngowani. Nie śmie głowy wychylić z za krzaków swego „Tygodnia Polskiego" Alek. Lednicki i jego Boża czeladka

aktywistyczna, przeważnie z całkiem zacnych mężów, ale kiepskich ongiś muzykantów się składająca, ale rządzą się w Warszawie jak szare gęsi krakauerscy Daszyńscy, Moraczewscy, Baranowscy, Badery, Liebermany, Diamandy, Jaś Dąbski, co piał rymem ku chwale króla Stefana „Batorego ze Żywca" i t. p. Zaszyli się po wsiach „skompromitowani" regent Ostrowski, Niemojewski z Marchwacza pochowali, L. Górski, Łempicki, Stecki, Parczewski i t. p., ale ministrowali, ministrują lub bliscy są ministrowania Steczkowski, Biliński i last but not least si parvula licet componere magnis nawet p. Estreicher, ten najczupurniejszy kogucik germanofiski z anno 1917 i 1918. Ten się nie skompromirował. Świeżo nawet otrzymał pontyfikalne rozgrzeszenie od prof. K. Morawskiego i przebaczenie arcychrześcijańskie za swoje przewiny i delatorstwa. Nam tu w Warszawie ta ceremonja echt krakauerska nie zaimponowała i przez to wymycie murzyn Leopolda Jaworskiego bielszym się nie stał.

Kraków jest grodem historycznym ale dziurą małą. W City opierścienionem plantami wszyscy zgnieceni na kupce następują sobie na nogi i nadgniotki i spotykają się po pięć razy dziennie. Przepływu obcych niema a wszyscy są skazani na wieczne świętoszków obcowanie, zaczem i na wszelkich grzechów odpuszczenie wzajemne. Stąd ten Burgfrieden wśród wielbicieli Hof-burga, stąd ta union sacreé i ta alliance activiste universelle. W tem mieście Piastów i Popielów za duży był procent wiernych poddanych Habsburgów i Hohenzollernów, za duży procent maczał ręce w funduszach N. K. N., w funduszach „Odbudowy Galicji", aby teraz mogli siebie jedni drugich palcami wytykać, od siebie stronić lub się na siebie boczyć. Dla miłego spokoju wszyscy sobie dali absolucję, „alle haben sich verstanden". Tam zresztą dla principjów i zasad niktby sobie w łeb nie strzelił, a dla karjery i dla „rządzenia" każdy bez zarumienienia przejdzie ze stronnictwa do stronnictwa jak na drugą stronę ulicy. W ostatnich czasach cały szereg galicyjskich kopertowych hrabiów „obszar-panikow" i Junoszów przeszedł z konserwatyzmu na wiarę ludowców i tu służąc wiernie i stojąc przy boku najjaśniejszych państwa z Wierzchosławic ma nadzieję doczekać się cierpliwie posad, posagów, posągów. Za swą ludowość hrabia Lasocki zostanie posłem w Wiedniu gdy ustąpi dzisiej-

szy ambasador p. „Szarota" (recte Nathan-Siehman) obecny reprezentant Polski w stolicy Ronacherów. Obecny ambasador nasz w Londynie choć „krakowiak" z krwi i kości, wstąpił do ludowców i jako ludowiec objeżdżał w jesieni r. z. Pomorze kandydując tam do Sejmu co się atoli skończyło sromotnem fiaskiem, poczem wynagrodzeniem ambasadą londyńską. Styl krakauerski polega na zacieraniu antagonizmów także międzypartyjnych. W myśl tego stylu skomponowany jest klub sejmowy K. P. K. z czerwonym radykalnym ogonem a białym konserwatywnym tułowiem i głową. W myśl tego stylu lodomeryjskiego przeszedł w jednej nocy p. Ehrenberg z redakcji „Czasu" do redakcji „Głosu Narodu" a p. Beaupré, admirator Ludendorffa i Hindenburga z „Głosu Narodu" do „Czasu" w kilka lat potem; w duchu lodomeryjskim działał też Łańcucki poseł, który jednego dnia napisał list do zarządu P. P. S., że jest jej *fidelis subditus*, a na drugi dzień ogłosił się komunistą na to tylko, żeby teraz grasować bezkarnie po Wielkopolsce, szerząc tam komunizm galicyjski, poczem wywoławszy z pomocą Westfalczyków strejki i awantury dać w ręce krakauerów dowody, że w endeckiej Wielkopolsce, gdzie krakauerów w mniejszym procencie synekurują, antagonizmy społeczne występują w najjaskrawszej formie. W myśl tego stylu literat Irzykowski w Krakowie pracuje kilka lat w redakcji „Czasu", a przeniósłszy się do czerwonej Warszawy zostaje socjalistą i paszkwiluje w socjalistycznej „Trybunie". W duchu też tego „ułatwienia sobie życia" postępuje sierżant wojsk polskich Leszczyński, który poznawszy bogatą żydóweczkę w Piotrkowie nie mogąc przełamać oporu rodziny przechodzi w Krakowie na judaizm i poddaje się nawet operacjom sekatora...

Przechodzący na judaizm krakauer Leszczyński staje się tym symbolicznym, aktem ostatnim wyrazem, najwyższem cis krakauerskiej etyki, oportunizmu, ugodowości i... politycznego dalekowidztwa... Na nizinie społecznej spełnił on to samo, co na wyżynach społecznych prezes Akademji Umiejętności rektor Morawski, dając absolutorjum zaciekłemu germanofilowi i delatorowi na endecję metekowi Estreicherowi.

Mogła ta przyjacielska i koleżeńska rehabilitacja prof. Estreichera przez prof. Morawskiego wzruszyć do łez skłonny Pokraków; nas ta ceremonja parafjalna bynajmniej nie rozczu-

liła. I choćby p. Estreicher w Krakowie jak p. Ehrenberg w Warszawie z zapamiętałą żywotnością i zaciekłością we wszystkiem brał udział co patrjotyczne, wybierał i dał się wybierać. przemawiał, deklamował, przewodniczył, jeździł, agitował, proponował stawiać pomniki, płakał nad inwalidami, wysyłał po trzy depesze dziękczynne dziennie i podstawiał zawsze nóżkę, gdzie kują ministerjalnego konia, to mimo glejtu prof. Morawskiego i jednogłośnej elekcji na rektora całego senatu pozostanie zawsze i właśnie typowem produktem „abfalls-product" t. zn. mentalita lodomerica i reprezentantem czołowym krakauerskiego światopoglądu.

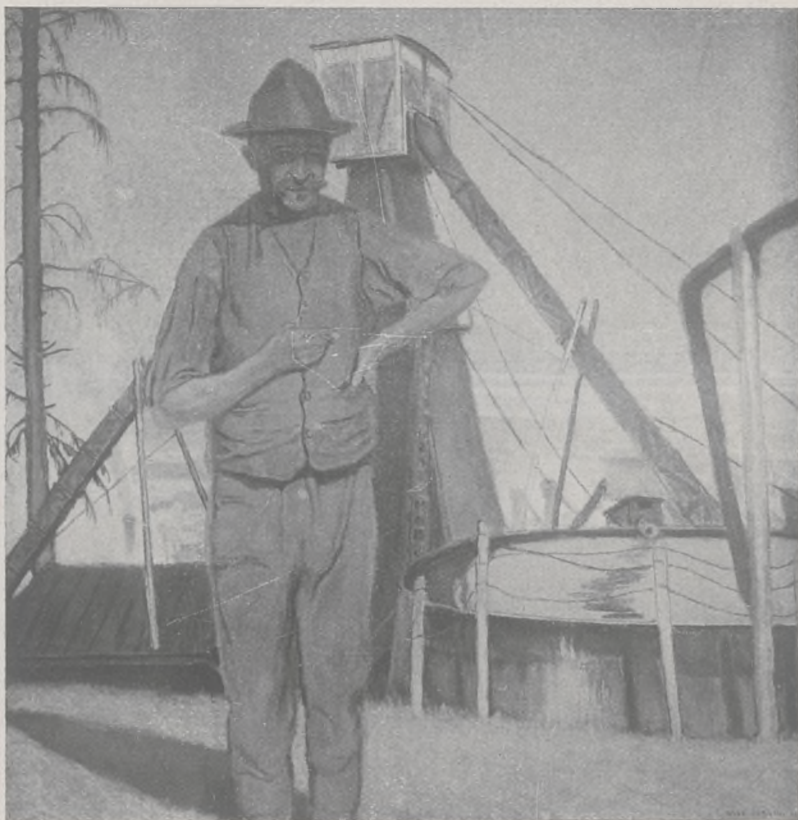
Również „abfalls - productem" rozpadającej się Austrji, reprezentantem znowuż krakauerskiej etyki, „fałszywej fassji" tamtejszej pozostanie baron Battaglia. Mogą go bronić sofistycznie rozmaici literaci i dziennikarze z jego trzema pismami materjalnym interesem związani, lub w towarzystwie tego bon-vivanta Amfitrjona dobrze się czujący, Warszawa jednakże wie, że ten filomadjar jako b. kierownik Sekcji Przemysłowej Centralnej Odbudowy Galicji i jako Kierownik Wydziału handlowego w Polskiej Komisji Likwidacyjnej związany jest mocno z różnymi wiedeńskimi Länder-bankami i Merkurami, z Oppenheimami, Springerami, Guttmanami, Feilchenfeldami czy jak im tam i Warszawa wie, że w Grudniu 1919 r. kiedy w Krakowie aresztowano Sternschussa, Loevego i Oppenheima właściwie trzeba było aresztować także i innych. Tymczasem nie aresztowano. Polacy bowiem kompromitują się często gratis, często dożywotnio, Krakauery tylko „czasowo" i tymczasowo.

Oportunizm i ugodowość tak wobec sił zewnętrznych, zaborczych jak i wobec sił wewnętrznych t. j. rozbuchanych P. P. S. czy rozpanoszonej cavalerji rusticany doprowadzał Kraków polityczny zawsze do granic absurdu. Leży to w tradycjach Stańczykowskiej szkoły i dzisiejszych „towarzyszów stańczyków". Ongiś bardzo dawno, kiedy do Wiednia posłowali z Galicji p. Gross i Wild powtarzano sobie, że jadą do Wiednia: „Gross und Wild" a we Wiedniu są „klein und mild"... Ten duch pozostał. Tylko wobec Endecji, na którą mocarstwo anonimowe nałożyło cherem i zapowiedziało jej zgubę, K und Kraków jezt zawsze gross und wild... Tylko w Sejmie polskim pozwalają sobie pepsiuki, w „Ujeżdżalni"

krakowskiej wytrenowane na wrzaski, ryki, gwizdy, świsty, którym przewodzi zawsze typowy łyk pokrakowski opasły geselle Klemensiewicz ze San Salvatora. Wobec potęgi Habsburgów a dzisiaj mocarstwa Wahrburgów nowojorsko-hamburskich i hrabia Stańczyk i towarzysz Stańczyk stoją na habacht i ruki pa szwam. Podczas gdy cała Polska gotowa sobie w modlitwie rannej powtarzać: „Ratuj nas Panie Boże przed Ratajami, bo z Pepejsami sami sobie damy rady", Kraków gotów jest za każdym razem zgodzić się to na hasło: „wsia własť peowiętom!" to znów „wsia własť Pasko-Piastom" „wsia własť Diamandom, Baderom, Liebermanom i Askenazom", byle i nam się coś oberwało przy tej okazji z posad i posagów, byle nie dopuścić Dmowskiego, byle dołoj Endecja"! I z Krakowa wysnuwają się te pajęcze sieci Ligi meteków i mechesów oplątające Polskę: Estreicher-Ehrenpreis, Battaglia-Ehrenberg, Thugutt-Erdman, Posner-Rosner, Djamand-Liberman, Bader, Nathan-Siehman, Askenaze, Hoesick-Haecker, „gute Polen und Gott sein dank keine Slaven", którzy reżyserują dziś Polskę. Na scenie politycznej dekoratywne kmiotki i wieśniacy a za sceną mechesy i meteki krakauerskie.

Oportunizm, ugodowość i dworactwo doprowadzały tam w Galicji do tego, że dobrowolnie najpiękniejsze ulice miast nazywało się imionami arcyksiążąt, ulicami 5 Listopada! Jerzy Mycielski rozpłakał się publicznie zwiastując na posiedzeniu Akademji Umiejętności, wieść o zabiciu Ferdynanda w Serajewie! Hotel Pollera w dzień uroczysty, kiedy miasto obwieszono flagami austrjackiemi, pruskiemi i polskiemi „zapomniał" o fladze polskiej i dopiero pruski jenerał zwrócił właścicielom uwagę, że „można i wypada" zawiesić flagę polską. Ale ten sam oportunizm i dworactwo na wewnątrz nakazuje teraz wysyłać orkiestrę wojskową na dworzec, kiedy przyjeżdża z Warszawy triumfator Pankracy Daszyński, a młodzież odprzęga konie od powozu tego wyszarzałego kabotyna, który swego czasu znów chciał sam wyprzęgać konie od powozu Karolka Stefana i wraz z Toniem Wodzickim-Rydzyńskim wieść go na Wawel na koronację... Ten sam „laisse-fairyzm" pozwala teraz tolerować rozszalałą gryndrkę, zakładanie efemerycznych banczków i bańkow mydlanych, spółek i towarzystw opartych na olbrzymich pozornie kapitałach i takie eksploatowanie patrji dla partji dla robienia osobistych szwin-

dlerstw i buzynesów, jak korumpowało Galicję już przed wojną, a jakie teraz przybrało olbrzymie „wawelowe“ rozmiary. Jeszcze za żywota ś. p. Austrji posłowie i politycy spełniali rozmaite akwizycyjne czynności dla obcego kapitału. Z ich pomocą i faktorstwem p e n e t r a t i o n p a c i f i q u e rozmaitych wiedeńskich Lander-Banków, Wiener Bank-Verainów, Credit-anstaltów i „Merkurych“. Z pomocy politykerów i bossów galilejskich podczas wojny opanowały Galileę rozmaite wiedeńskie: „Geosy“, „Milesy“ i Oezegi“, „Osty-Paksy“ i t. p. mafje wywozowe, które wypompowywały z Galicji wszystko co było do zebrania. Kojarzenie polityki z geszäftem było zawsze specjalnością małopolską i na podłożu takiej specjalności rozkwitły takie indywidualności jak np. hr. Antoniego Wodzickiego-Rydzyńskiego, którego orjentacja germańska wywodziła się z tego, że jako nafciarz należący do koncertu Petrolei był tysiącem nici finansowych związany z pruskim Erdoel-gesellschaft; inny nafciarz młody krakauerski hebrajczyk Wasserberger związany z pruską Dea-Companią i Petroleą był tym Masynissą kusicielem, który w Moskwie opanował duchowo A. Lednickiego i przywiódł do orjentacji germanofilskiej. I to pozostało dotychczas. Robienie interesów na poselstwie, na polityce, wyzyskiwanie swoich, i swej partji wpływów w koncesjach, w wywozach w przywozach, w dzikiej paralacji, w dewastowaniu lasów, w wykupywaniu akcyj terenów czy patentów, w otrzymywaniu trafik i t. p., prezesowanie posłów w spółkach zarobkowych i asekuracyjnych, akcyjnych lub choćby członkostwo w zarządach za sutem wynagrodzeniem i tantjemą i idąca stąd stronność i obrona tychże na terenie Sejmu to była moda i metoda małopolska, które z czasem wyrodziły się w niebywały horendalny korupcjonizm. Ten to korupcjonizm parlamentarny z Galicji rzuca się teraz jak kanianka na całą Polskę, razem z „wyższą kulturą“ polityczną, z dyletatyzmem, z propagandą komunistyczną Łańcuckich, Drobnerów, Dąbalów. Jak moskity zarazę tak z wyższem wykształceniem Piemontczycy nasi rozwożą zarazki „f e b r i s a u r e a“ zarazki gryndarstwa i szwyndlerstwa, pomysły wielkich szacherst akcyjnych i fikcyjnych, koncernów krakauerscy szabesgoje... Świeżo zwrócił na to złotoróbstwo ludowców, na to zbogacania się kosztem państwa i wyzyskiwanie Patrji dla partji krakowski „Czas“, ale gdy



Górnik przy szybie naftowym. Wł. Jarocki.

Tow. Zach. Szt. Pięk.

go przyparło do muru, gdy marszałek Sejmu zażądał szczegółów, stary kamerdyner każdego rządu nagle się opamiętał w swem niespodziewanem weredyctwie i przypomniawszy sobie ile to mankamentów jego ludzie mają na sumieniu i widocznie zagrażany przez ludowców wywleczeniem kohnserwatywnych ułomności w tej dziedzinie zmilkł i „wykręcił się sianem“. Korupcjonizm paskopiastów będzie wzrastał dalej, ogarniając tylko zczasem nie „wyrobionych“ jeszcze i nie rutynowanych „wyzwoleńców“ z Królestwa i enperów z Wielkopolski. Olbrzyma i fortuna socjalisty Diamanda, piękne „kamieniczki“ towarzyszy: Moraczewskiego i Klemensiewicza, pola ropne Stapińskiego, Bryla brylantowe geszefty domami wnet już nie dadzą spać i innym suwerenom... Maluczko, a doczekamy się pięknych panaminek i panam, jeżeli ministerjum zdrowia nie wynajdzie sposobów walki z epidemją pasków na polityce, idąca z siedliska wszystkich infekcyj publicznych z c-Krakowa, tego grodu panów Popielów i panów Pasków, który kochał prof. Bobrzyński, znany polityk, a jednak wolał na starość kupić sobie od p. Brojekere w Wielkopolskiej Wandeji za uciułany grosz wspaniały majątek Garby Wielkie... Wielkie Garby...

Czy takim „wielkim garbem“ Polski nie jest przypadkiem polityczny Kraków?

d. n. *ADOLF NOWACZYŃSKI.*



ZE SZTUKI.

SZTUKA DRAMATYCZNA I POPISY UCZNIÓW WARSZAWSKICH SZKÓŁ DRAMATYCZNYCH.

Do czasów Delsarte'a (1811—71) sztuka dramatyczna nie istniała jako nauka, ujęta mniej lub więcej udatnym chwytem mózgu w pewien system, istniała wyłącznie jako sztuka, do tajników której artysta dramatyczny wdzierał się przebojem, własną intuicją, talentem, genjuszem, twórczością i której prawa rządzące poszczególni artyści ujmowali chaotycznie w pewne naogół dość nawet liczne zakazy, morały, sentencje gwoli przekazaniu onych swoim młodocianym epigonom.

Poza mniej wybitnemi teoretykami w rodzaju anglika Austin'a („Chironomia"—London 1806) Delsarte pierwszy pokusił się prawa gestu ująć w system bardziej plastyczny, w klasyfikację, w teorję, którą spółcześni opublikowali p. t. „Del Sarte System of Oratory". New-York 1893.

Delsartyzm stał się podłożem dla metod Dalcroze'a i wywarł decydujący wpływ na spółczesną gimnastykę rytmiczną.

Delsarte wydzielił z mimiki, czyli z całokształtu tych ruchów, wrodzonych człowiekowi, przez które przyroda uzewnętrznia nasze wrażenia, wzruszenia i pragnienia, pantominę, czyli wymyślny przez człowieka język ruchów ciała, niejako dowolnie ułożone przez grupy ludzi hjeroglify ku wzajemnym ludzi tych porozumieniom, i położył nacisk na semijotykę, która bada gest jako znak zewnętrzny, odpowiadający pewnym określonym stanom wewnętrznym, i dokonał w tej semijotyce zacządku rozumowanej systematyki gestu w stosunku do ruchu poszczególnych mięśni ciała naszego oraz rozumowanej systematyki praw odnośnie statyki i dynamiki ruchów ludzkich.

Zgodnie z tą rozpowszechniającą się teorją były prowadzone wykłady teoretyczne i praktyczne naogół w warszawskich szkołach dramatycznych, co zwłaszcza ilustruje zreformowany program upaństwowionej w r. b. Warszawskiej Szkoły Dramatycznej. Obowiązujący na przyszłość plan nauczania rzeczonej szkoły o kursie trzyletnim przedstawia się jak poniżej.

Przy wstąpieniu do szkoły nadewszystkiem rozstrzygają warunki zewnętrzne, nadto pewien konieczny stopień inteligencji. Kurs pierwszy posiada przedmioty: 1. Mowa (wymowa, głos, oddech); 2. Poezja (rytm, rym); 3. Solfedż i gimnastyka rytmiczna; 4. Dzieje stylów teatralnych w związku z kostjumologją i gestem (od czasów Grecji); 5. Perspektywa sceniczna; 6. Ćwiczenia dla wyobraźni, skupienia i ruchu (system Delsarte'a).

Kurs drugi: 1. Deklamacja; 2. Ćwiczenia mimiczne (Delsarte) ze słowem; 3. Praktyczne zadania sceniczne; 4. Solfedż i gimnastyka rytmiczna; 5. Psychologja; 6. Dzieje stylów średniowiecza.

Na kursie trzecim: 1. Praktyczne zajęcia sceniczne; 2. Przygotowanie utworów; 3. Dzieje teatru i literatury dramatycznej w Polsce; 4. Dzieje stylów nowożytnych; 5. Fechtunek; 6. Zasady charakteryzacji.

Program ten, w którym w stosunku do istniejących programów nader wybitnie jest podkreślona poezja-twórczość i plastyka aktora, zasługuje ze wszech miar na uznanie i rokuje wielkie nadzieje, jeśli profesorzy podołają trudnemu zadaniu hodowania tak wrażliwych i wpływowych tworów, jak odrębności duchowe i fizyczne młodych adeptów sztuki aktorskiej,

Po zakończonym obecnie roku szkolnym dwie warszawskie szkoły dramatyczne umożliwiły uczniom swym złożenie niejako publicznego, bo wobec licznego audytorjum, egzaminu — mianowicie Warszawska Szkoła Dramatyczna i Klasa Dramatyczna Szkoły Muzycznej Z. Iwanowskiej-Płoszko.

Popis uczniów III-go kursu Warszawskiej Szkoły Dramatycznej, jaki trwał niemal dwa dni bez przerwy, dał w tym czasie fragmenty z czterdziestu sztuk wywarł naogół i jak na te ciężkie czasy dodatnie wrażenie. Zadokumentował, że młodość trzepoce się do życia, do ról wielkich i dostojnych, podfruwują ku nim podfrówki, rzucają się naoślep ku nim nie miąższe jeszcze szczupaczki, owe i owi przyszli nasi sławni może, może uwielbiani. Z pośród białogłów najwięcej pasji i kunsztu wniosła A. Irska (młynarka z „Zaczarowanego Koła"), talent dramatyczny o szerokiej skali i mocnym pomiarze w ujęciu roli w ekspresję (widać zaraz, że to siostra rodzona p. Stasi Ondyny-Mazarek z Reduty) i H. Orlikówna. Z pośród uczniów na pierwszy plan się wybijają — Tadeusz Żeromski, powinowaty Stefana, znany szerszej publiczności z występów na wieczorach poezji słonecznych „Światowita"; I. Niwiński, K. Wyrwicz, H. Rozmarynowski i R. Kramer również rokują nadzieje. Niwiński od ostatnich posiada więcej szczerego zapału, ale mniej techniki, opanowanie wielkich trudności technicznych, bo Niwiński tylko wielkich i trudnych ról pragnie, może go postawić między pierwszymi.

Popis Warsz. Szkoły Dram., popieranej przez rząd i posiadającej wiele dogodnych nader warunków, poza kilkoma zbyt rażącemi dysonansami, był miłym wyrazem entuzjazmu dla teatru młodych adeptów tej trudnej sztuki.

Jeśli jednak zważymy okoliczności z jakiemi musi się borykać prof. K. Pomian, prowadzący w najtrudniejszych warunkach Klasę Dramatyczną Szkoły Muzycznej Z. Iwanowskiej-Płoszko i zasób pracy, jaki w to włożył i wyniki, jakie ta praca dała, — to popis (w dn. 7 b. m.) uczenic i uczniów klasy prof. K. Pomiana zyskuje jeszcze więcej sympatji. Z pośród uczenic, jako talent pełnej krwi dramatycznej wysuwa się na pierwszy plan Irena Horecka (w „Esterce" i „Balladynie"). Horecka, posiadająca nieprzeciętne warunki zewnętrzne, możną skalę głosu i gestu, role ujmuje mocno, twardo, jak St. Wysocka, daleka jest od wszelkiej cukierkowotości, zdawkowych kunsztyków i maniery. Marta Bielerówna w „Flisie" wykazała, że posiada szeroką, bogatą w tony i półtony klawiaturę gestu i pierwszorzędne warunki sceniczne do sztuk w duchu realistycznym i w duchu poważnej komedji, jeszcze trochę pracy nad wymową. Sternicka swobodnie się czuje w rolach komedjowych i charakterystycznych. Z pośród uczniów walczą o lepsze Pągowski i Bailons-Zawistowski. Pągowski nadaje się bardziej do dramatu rodzajowego, do kreacji fredrowskich, posiada niefrasobliwy, barokowy, wiejsko-sarmacki humor i takąż mimikę, spółczesny dramat mieszczański zda się również odpowiadać rodzajowi jego talentu. Zawistowski, jakkolwiek jeszcze bardzo młody (uczeń I-go kursu), rokuje dla poważnego dramatu wielkie nadzieje. Skądinąd wiemy, że na rzeczonym popisie Sarjusz-Kamocka, Firlej, Pilecka, Hajali, St. Czarkowska (w „Romantycznych", „Dożywociu", w „Oj mężczyzni") również zyskali oklaski widzów.

Prof. Pomian klasę swą prowadzi drogami jak najbardziej praktycznemi, to znaczy, że, postrzegłszy zdolności adepta, od pierwszej chwili wpycha go niejako na scenę, podsuwając role, najbardziej odpowiadające jego indywidu-

alności, zrazu bardzo krótkie i proste, poczem stopniowo coraz bardziej złożone sytuacyjnie i mimicznie. Prof. Pomian podobno nosi się z myślą założenia „studjum dramatycznego“, t. j. sceny, gdzie zdolniejsi jego uczniowie w celu oswojenia się ze sceną, kulisami, reżyserem, inspicjentem, dekoratorem, rekwizytorem, elektrotechnikiem i t. p. sporadycznie wobec grupy widzów graliby krótkie sceny, ewentualnie nawet na tle kotar. Założenie takiej sceny pod kierunkiem prof. Pomiana zasługuje ze wszech miar na poparcie. Takie założenie studjum dla uczenic i uczniów miałoby tę wielką rację bytu, że tworzywem, arfą aktora, na której on—aktor ma po skończeniu szkoły grać swą pieśń, jest nie kto inny i nie co innego (nie marmur, nie farba, nie instrumenty muzyczne, nie pisane słowo), tylko on sam, on sam ma grać na sobie innym, jak na arfie, i dlatego jak najwcześniejsze zaprawianie ucznia do tej gry uważam za właściwe.

R. KR.

Treść zeszytu XIV-go.

Warunki prenumeraty:

W stolicy i w kraju: Kwart. Mk. 320. Za gran. i w Ameryce: Kwart. Mk. 500 Dolicza się kwart. w Warsz. za odnosz. Mk. 20, w kraju za przes. pocz. Mk. 40, zagranicą i w Ameryce Mk. 60.—Cena oddzielnego zeszytu Mk. 60 Konto czekowe w Pocztowej Kasie Oszczędności Nr. 38.



Adres Redakcji i Administracji:
Warszawa, Nowy-Świat № 40. Telef. 319-87.

Redaktor Naczelny wydawnictw Polsk. Poster. Wyd. „Placówka“: WALENTY ZIELIŃSKI.

Członkowie Komitetu Redakcyjnego: IGNACY OKSZA GRABOWSKI. GUSTAW OLECHOWSKI, STANISŁAW PIEŃKOWSKI.

Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warszawa, ul. Zgoda 5.